

RADOSŁAW NOWAKOWSKI



[www.liberatorium.com](http://www.liberatorium.com)

Panie doktorze, pan pewnie sobie pomyśli, że zwariowałem, ja stary chłop jak nic zwariowałem i opowiadam niestworzone historie, we łbie mi się pomieszało i ma pan rację, bo mi się pomieszało, zresztą jak miało się nie pomieszać, kiedy takie coś mi się przytrafiło? Widzi pan te kolorowe litery? Widzi pan? Nie widzi? To pan zobaczy. Tak jak ja zobaczyłem.... Bo ja całe życie mówiłem czarnymi literami, a teraz, od dwóch tygodni mówię kolorowymi. Wszystkie samogłoski są kolorowe i już kilka spółgłosek. Co dzień jakaś litera przestaje być czarna i staje się kolorowa. Co to będzie dalej? Co będzie? . . . No tak, skąd pan może wiedzieć co będzie, jak nie wie pan co było? To powiem panu co było i jak było. Niczego nie będę ukrywał. Powiem jak na spowiedzi. Co ja mówię. Lepiej i więcej panu powiem niż na spowiedzi.

Będzie ze dwa tygodnie jak się obudziłem, jakoś tak dziwnie się obudziłem, tak jakbym się nie obudził. Tak to czułem, że się obudziłem i nie obudziłem. Wie pan, jak to jest, czasami, aczkolwiek rzadko, zdarza się, że śni się człowiekowi, że śni, prawda? To normalne, mnie też się tak zdarzało, innym też się tak śniło, też miewali sen w śnie, opowiadali mi o tym, a ja im, nigdy jednak nie zdarzyło się, żebym obudził się i nie obudził, żebym obudził się i dalej śnił... Nie, nie, z całą pewnością nic mi się już nie śniło. I z całą pewnością nie chodziło o to, że śniło mi się, że się obudziłem i wstałem. Tak jak nie śni mi się, że jestem u pana, że przyszedłem do przychodni, żeby to panu doktorowi opowiedzieć. Nie. Na pewno już nie spałem i nic mi się już nie śniło. Chyba że mi się śniło na jawie. Tak się mówi, prawda? Śnić na jawie. Nigdy się nad takimi rzeczami nie zastanawiałem. Zresztą nad innymi rzeczami też się nie zastanawiałem. Kto by tam miał czas i siłę, żeby się tak zastanawiać. Takie zastanawianie się to tylko męczy i rozprasza. Człowiek tak siedzi i się zastanawia, a robota stoi. A teraz się zastanawiam. Od tego obudzenia się nic tylko się zastanawiam. Będzie już ze dwa tygodnie. Zastanawiam się i zastanawiam. Jak to możliwe, żeby się obudzić i nie obudzić. Muszę się zastanawiać, rozumie pan, panie doktorze? Bo sytuacja w jakiej się znalazłem jest zastanawiająca, właśnie taka jest: wielce zastanawiająca. Nigdy tak nie było, żeby coś było zastanawiające, skąd mam więc wiedzieć, co począć i czy w ogóle coś począć? Bo może lepiej nic nie czynić, czekać, czekać, aż to minie... Co minie? Co ma minąć? Sen? Przecież nic mi się nie śni, przecież nie śpię, chociaż nie obudziłem się...

Wie pan, ja przez ten przymus zastanawiania się czuję się ograniczony w swych podstawowych prawach... I wychodzi mi z tego zastanawiania się, że to może być przez ten sen co to mi się śnił przed tym obudzeniem nieobudzeniem. Koszmar niekoszmarny. Tak, to też było dziwne. To, że ten sen, który winien być okrutnym koszmarem, wcale nim nie był. Nie potrafię określić co to było i jakie to było, nie potrafię tego nazwać, ani pojąć... Nawet i tej nagłej nieporadności w określaniu nie potrafię pojąć, nazwać i określić. To taka jakby bezradność wobec nieporadności. Rozumie pan?... Nie rozumie pan, ale pan zrozumie. Kiedyś pan zrozumie. Tak jak ja kiedyś zrozumie co to było, czy to był sen, czy nie sen, czy coś innego. Ale co?... Wspomnienie. Tak bym powiedział. Sen-wspomnienie. Do pewnego momentu. Nagle, teraz, po tylu latach. Po ilu to już latach? Kto by je zliczył. Po co liczyć? Żeby się przerazić? Żeby się w jednym momencie zestarzeć? Jak to mawiają: poczuć na karku brzemień czasu... Tak mawiają? Tak delikatnie? Nie, tak nie mawiają... Byłem na placu targowym. Wie pan gdzie to jest. Tam gdzie handlują ciężarówkami. Czyli ciągnikami siodłowymi. Tam się kiedyś handlowało końmi. Kilka stuleci tak handlowano. Jak pan tu nastał, to już nie handlowano końmi, tylko tymi ciągnikami. W sumie to to samo. To ciągnie i to ciągnie... Wtedy to ja ciągnąłem konia. W mroźny, ciemny, styczniowy poranek. Koń się zapierał. Miał rację – nie czekała go przecież świetlana przyszłość. Koń miał rację? Koń i racja? Od kiedy to koń ma rację? Od kiedy to istnieje coś takiego jak końska racja? Czy koń to obywatel, żeby mieć rację? Żeby mieć prawo do posiadania racji? Końska racja stanu – no koń by się uśmieł. I koń się śmiał. No to walnął go kijem. Nie będzie mi się koń opierał i jeszcze się ze mnie śmiał. Jak go tak walnąłem tym kijem, a kij był całkiem solidny, to z mroku, z tego galimatiasu szarych kształtów i plam rozmazanych kłębami pary buchającej z ust i pysków, wyłoniła się ta wredna baba i wrzasnęła: Czego tak bijesz to zwierzę kijem? To ja jej odwarknąłem: A czym mam bić? Natychmiast, bez zastanowienia, żeby się bezczelnie nie wpychała, gdzie jej nie chcą... Pan doktor to pewnie myśli, że to ja byłem bezczelny, że jej tak odpowiedziałem. A co miałem odpowiedzieć? Co odpowiedzieć na takie głupie pytanie? Łapsko już wtedy miałem jak bochen, ale nie uchodziłem za mocarza co to by jednym ciosem takie bydlę na ziemię powalił. A nawet gdyby, to i tak ręki szkoda. Bydlę to bydlę. Kij na takie

bydlę w sam raz. Jak ulał. Baba na to nic. Obróciła się tylko to tych dwóch co z nią byli. Bo na pewno z nią byli. Nikt ich tu przedtem nie widział. Nie wyglądali na takich, co konie kupują. A ją znali wszyscy. Przeklęty babsztyl. Do wszystkiego się wtrącał... Wtrącał czy wtrącała? Jak by pan doktor powiedział? Jeśli babsztyl to wtrącał. Użycie czasownika w rodzaju męskim odbiera babsztylowi resztki kobiecości, degraduje ją. Tak samo jak to się dzieje z męskością chłopów kiedy mówimy *chłopy poszły*. No widzi pan doktor co się ze mną dzieje? Nad gramatyką się zastanawiam! Ja! Toż to czyste wariactwo. Choroba jakaś musi to być... Przyjeżdżała co tydzień, w każdy poniedziałek i tak łąziła po całym targowisku i wszędzie ten swój czarci nos wtykała. Bo to czarownica była. Powinni byli kupić jej miotłę, wsadzić w dupę i odesłać na gołoborze. Albo jeszcze lepiej: wsadzić jej agregat i napompować, jak kiedyś napompowali krowę, żeby wyglądała na tłąstą, tylko że tego babsztyla trzeba było napompować znacznie, o znacznie bardziej, żeby się rozduła jak balon, i puścić, to poleciałaby hen za góry... Powinni, ale tego nie zrobili. Bali się. Kto by tam chciał zadzierać z czarownicą. A trzeba było. Bo to pewnie ona na mnie urok rzuciła. Wtedy. Urok z opóźnionym zapłonem, bo wybuchł dopiero teraz... Tamci dwaj coś szwargotali. Jeden był wysoki, a drugi niski i jakiś cherlawy, nawet w grubej kurtce wyglądał niczym suchotnik. Rękę szybko włożył do kieszeni. Coś chciał ukryć. Pewnie aparat. Ciągłe przyprowadzała jakiś podejrzanych typów, co chcieli robić zdjęcia. Skaranie boskie i diabelskie z taką babą... Do tego momentu było dokładnie tak, jak było. Tak jak pamiętałem, że było. Lata mogły pozacierać szczegóły – sen mógł szczegóły wyostrzyć, zniekształcić całą sytuację, ale tego nie zrobił. Sen zrobił co innego. Sen do mnie przemówił. Odezwał się głosem zupełnie nieokreślonym, pozbawionym namiętności i płci, lecz nie anielskim, które to anioły płci ponoć nie mają. Nie napłynął ten głos z żadnej strony, bo we śnie stron nie było. Nie usłyszałem go ani z zewnątrz ani wewnątrz siebie, bo nie było żadnego wewnątrz i zewnątrz... Ciągłe się zastanawiam, jak to powiedzieć i ciągle nie wiem, takie to było dziwne. Powiedziałem, że sen do mnie przemówił, ale to nie było tak. Powiem, że sen był głosem i to też nie będzie tak jak było, a było niesamowicie, aż ciarki szły po plecach. Niech będzie, że sen się odezwał, a ja usłyszałem-nie-usłyszałem: Musisz przeprosić konia. Musisz tego konia odnaleźć

i go przeprosić... Zdumiewające, nie? Nie zdumiało to pana doktora? Bo mnie wcale. Ani ani. Przyjąłem to jako coś zupełnie normalnego – i dopiero to było zdumiewające. Więc najpierw byłem spokojny, zupełnie niewzruszony. Dopiero potem do mnie dotarło: teraz? po tylu latach? jak ja go znajdę? gdzie go mam szukać? przecież koń tak długo nie żyje, dawno został zjedzony, pochłonięty, rozłożony na białka, węglowodany, atomy i kto wie co tam jeszcze... – Musisz tego konia odnaleźć i go przeprosić – powtórzył sen... Wtedy obudziłem się i nie obudziłem. I nic już nie było i nie jest takie jak przed zaśnięciem, kiedy kładłem się do łóżka nieświadomy istnienia Wszechświata.

Sen jak sen. Różne dziwactwa śnią się ludziom. Jedni się nimi przejmują inni nie. Albo przejmują się przez jakiś czas, w potem o wszystkim zapominają. Też bym się nie przejmował, bo i co tu sobie głowę zaprzętać głupotami, gdyby nie to, że nijak nie mogłem otrząsnąć się z poczucia inności. Tak. Tak się czułem, jakbym się znalazł w innej rzeczywistości, świat wydawał mi się odmieniony. Albo może raczej zamieniony.

Taka łązienka. Niby taka sama jak wczoraj, a inna. Takie sikanie. Niby takie samo jak codziennie, a jakże inne. Bo do tej pory nigdy nie zastanawiałem się, skąd się te moje szczyny biorą i co się z nimi dalej dzieje. Mocz. Szczyny. Gównno. Kupa. Całe to sranie. Te szamba, gnojówki, komposty, nawozy. Zyszczy nam, spuści nam... Panie doktorze, pan to wie, dla pana to normalne, pan pewnie kiedyś też tak sobie myślał, że tu nos, tam ucho, tu wątroba, tam palec, a jeszcze gdzie indziej serce i że jedno nie ma nic wspólnego z drugim, jakby każde swoim życiem żyło i w ogóle nie interesowało się niczym innym poza sobą, a potem okazało się, że wcale tak nie jest, że to wszystko jest ze sobą powiązane i jedno wpływa na drugie i jedno bez drugiego już tak dobrze sobie nie radzi, chociaż serce bez palca sobie poradzi, ale palec bez serca już przecież nie. To i mnie tak się zaczęło wszystko układać i łączyć. Nagle wszystko zaczęło się ze sobą łączyć. Te puzzle czy jak je tam nazywają zaczęły się układać. Same. Ja mam przecież trochę za słaby wzrok i za grube palce. Ale nie tak, żeby od razu się ułożyły, o nie. To nie tak. To nie polegało na tym, że gdybym wziął jakiegokolwiek pudełko z układanką z tysiąca elementów i je otworzył, to w środku zobaczyłbym gotowy obrazek. Nie, nie. To się zaczynało układać. Nie

to było jednak zadziwiające, zastanawiające, lecz to, że wszystko działo się bez mojej woli. Mówię panu, panie doktorze, to się działo jakby mimo mnie, obok, tak jak rzeka płynie obok... I ta rzeka, panie doktorze, wylała. Zaczęła się powódź. Straszna, okropna powódź. Świadomość istnienia Wszechświata zaczęła zalewać i topić nieświadomość, błogą, o jakże błogą nieświadomość istnienia. A powódź to chaos, pan przecież wie, niejedną powódź pan widział. Oto chaos świadomości zaczął unicestwiać porządek nieświadomości. To co było do tej pory oczywiste, tak oczywiste, że absolutnie i zupełnie niezastanawiające, przestało być absolutnie i zupełnie niezastanawiające. Umysł mi się obudził i obudziły się wątpliwości, a do tej pory w nic nie wątpiłem. Lecz nie to było najgorsze. Umysł da się uspić, usną wtedy i wątpliwości. Najgorsze miało dopiero nadejść. Niech pan słucha...

Załatwiłem się, spuściłem wodę i podszedłem do lustra. Oglądałem twarz, przyglądałem się sobie, sprawdzam czy ja nie jestem aby jakiś inny. Widzę, że nie. Te same zmarszczki, ta sama poranna szczecina, ten sam nochal, rysy ciosane siekierą, plamy na łysym czerepie. A jednak jakbym oglądał kogoś innego... Bo, panie doktorze, ja widziałem t w a r z. Nie gębę, nie głupi, tępy ryj, lecz twarz. Rozumie pan? Gęba zamieniła mi się w twarz. Otworzyłem usta... Bo zapomniałem panu powiedzieć, że odkąd się obudziłem-nie-obudziłem czułem jakąś suchość w gardle, coś mnie tam drapało. Przeziębłem się? Ja? Ja się przecież nie przeziębiałem, kataru nie miewałem, a na anginę, to chorowałem chyba w dzieciństwie, o ile w ogóle kiedykolwiek. No ale wiem, że jak się idzie do lekarza i lekarz zagląda w gardło, to się mówi wtedy **a**. Nie wiem dlaczego. Pan to wie, coś tam pewnie wtedy lepiej widać. No to sobie pomyślałem, że otworzę usta przed lustrem i powiem **a**, to coś zobaczę, bo coś się odsłoni. No i mówię: aaaaaaaaa . . . . aaaaaaaaa..... Nie jest łatwo zaglądnąć do własnej gardzieli. Próbował pan? Na pewno pan próbował. Widać niewiele, ale zawsze trochę. I to trochę było czerwone. Ha! Więc jednak. Zaczerwienie. Otworzyłem usta jeszcze raz. Tym razem nie dostrzegłem zaczerwienienia. Gardziel była różowa, jak to gardziel. Powiedziałem: aaaaaaaa... i od razu się zaczerwieniła. Przestałem mówić i zaczerwienienie zniknęło. To pomyślałem, że powiem co innego. Na przykład **e**. I mówię: eeeeeee.... Patrzę, zaglądam, kręcę głową i nic nie widzę. **E** było bezbarwne. Próbuję dalej. Iiiiiiiiiiii... **I** też było bezbarwne.

Wtedy zrozumiałem. To nie gardło było zaczerwienione. Ta **a** było czerwone. Zastanawiające. Nawet przerażające. No bo kto to widział, żeby **a** było czerwone?

Tak się zdziwiłem, że nawet mnie to nie przestraszyło. Ale kazało mi iść do pokoju. Poszedłem. Włączyłem telewizor. Pora śniadania. Będą gadać. I gadali. I wszystkie **a** które wymawiali były czerwone. Zamurowało mnie. Normalnie mnie, panie doktorze, zamurowało. Gapiłem się i gapiłem w telewizor, w ogóle nie wiedziałem o czym rozmawiają, nic do mnie nie docierało, tylko widziałem te czerwone **a** wylatujące z ich ust... Aż na dole ekranu pojawił się pasek z informacjami. Nie wiem o co chodziło, bo nie czytałem. Ja tylko sprawdzałem jakiego koloru są litery **a**. I niech pan sobie wyobrazi, panie doktorze, że tam, na tym pasku wszystkie **a** też były czerwone.

Żeby się upewnić wziąłem starą gazetę, no nie taką starą, sprzed kilku dni, zapomniałem ją wyrzucić, a może zostawiłem, bo miałem coś w nią zapakować. Przed kilkoma dniami to była zupełnie normalna gazeta, a teraz już nie była normalna. W niej wszystkie **a** też były czerwone. Nie w tytułach, bo niektóre tytuły były kolorowe, bo to była tak zwana kolorowa prasa, ale teksty artykułów w takiej kolorowej prasie z reguły są czarne. Wtedy przemknęło mi przez głowę, że dobrze byłoby zaglądnąć do jakiejś książki i sprawdzić czy tam też **a** są czerwone. Musiałbym pójść do kogoś, ale bałem się. Już jakbym się zapytał o książkę, to by sobie pomyśleli, że zwariowałem, że mi na starość odbiło, a jakbym zapytał, czy oni też widzą wszędzie czerwone **a**, a co gorsza czy słyszą i mówią czerwone **a**, to przecież by pękli ze śmiechu.

Tak, panie doktorze, tak oto nadszedł dzień, w którym świat czarno-biały stał się kolorowy. Gorzej, znacznie gorzej. Okazało się, że świat zawsze był kolorowy, tylko ja tych kolorów nie widziałem. Powie pan, że powinienem się cieszyć? Wcale się nie cieszyłem.

Nadeszła noc. Położyłem się spać z nadzieją, że to będzie noc, w której świat z powrotem stanie się czarno-biały. Pocieszałem się, że we śnie nikogo nie dziwiłoby to, że słyszę i widzę i mówię czerwone **a**. Nie takie dziwy zdarzają się we śnie... Nic się nie wydarzyło. Nadzieja, jak to nadzieja zrodziła kolejnego głupiego, czyli mnie.

Przyszedł kolejny dzień, a świat stał się jeszcze bardziej kolorowy.

Spałem szybko, najszybciej jak się dało, zupełnie jakbym nie mógł się doczekać, kiedy się obudzę. Popędziłem do łazienki. Otworzyłem szeroko usta. Powiedziałem aaaaaaa i a było czerwone. Zamknąłem usta. Otworzyłem je ponownie i powiedziałem eeeeeee i e było zielone. Niesłychane. Słyszał pan doktor kiedyś, żeby e było zielone? Nie. No właśnie... Tak jak poprzedniego dnia pobiegłem do pokoju i włączyłem telewizor. Coś mówili, o czymś opowiadali i wszystkie a, które wypowiadali były czerwone, a wszystkie e były zielone. Sprawdziłem gazetę. Tę samą. Specjalnie jej nie wyrzuciłem. W niej e też pozieleniały. Przez kilka dni starałem się mówić jak najmniej i jak najmniej słuchać. Z czytaniem było trochę trudniej, bo z niejakim zdumieniem spostrzegłem, że chce mi się czytać. Zresztą czytanie okazało się dosyć bezpiecznym sposobem sprawdzania postępów tej tajemniczej choroby... Bo to chyba choroba, panie doktorze. Bo co innego jak nie choroba? Pewnie jakiś wirus, przecież nie rak... Pojechałem do miasta, bo tu nie ma księgarni, wie pan przecież jaka to zapyziała dziura, kupiłem książkę. Nic nie musiałem mówić. Wszedłem, podszedłem do ustawionego na środku długiego stołu, wybrałem taką, która nie miała w tytule ani a ani e, potem do kasy, zapłaciłem i wyszedłem. Nie powiedziałem ani dzień dobry, ani dziękuję, ani do widzenia, zupełnie się tym nie przejmowałem, że mnie wezmą za skończonego chama, przejmowałem się przecież zupełnie czymś innym i nie chciałem, żeby inni też się tym zaczęli przejmować. Wróciłem do domu. Otworzyłem książkę i okazało się, że u było brązowe.

Potem, w miarę czytania, żółtkło i. Po i niebieskie zrobiło się o, co wydawało się dziwne, gdyż niebieski nie ma w sobie żadnego o. Dosyć szybko y stało się fioletowe, a pomarańczowe, a e seledynowe. Tak wyczerpały się samogłoski. Nastąpiła przerwa. Niemniej czytałem dalej, gdyż książka nawet mnie zaciekawiła. Tym bardziej, że wszystkie spółgłoski, jak i znaki interpunkcyjne, pozostawały czarne. I kiedy już zacząłem myśleć, że na tym się to skończy, że wnet a szernieje a z nim reszta samogłosek, potknąłem się o próg, kiedy szedłem do kuchni zrobić sobie herbatę, i z ust wyleciało mi granatowe rrrrrrr... Wtedy postanowiłem, że pójde do lekarza. Zadzwoniłem do przychodni i umówiłem wizytę. Musiałem czekać kilka dni i przez tych kilka dni sytuacja dramatycznie się pogorszyła. Czy polepszyła? Bo w miarę jak



świat stawał się coraz bardziej kolorowy, w miarę jak wszechświat subtelniał i piękniał, a ja razem z nim, ogarniał mnie coraz większy lęk. Do tej pamiętnej, tragicznej nocy wiedziałem wszystko. Świat nie miał dla mnie tajemnic, a życie nie budziło żadnych wątpliwości. Od tego przebudzenia wiem coraz mniej, wszystko komplikuje się i gmatwa nie do zniesienia. Świat mnie przeraża i zachwyca jak nigdy przedtem. A najgorszy ten koń, którego muszę przeprosić... I nie tylko ten. I nie tylko koń...

To tyle. Opowiedziałem panu doktorowi wszystko, choć nie było to łatwe. Widzę, że dla pana doktora to też nie jest łatwe. Rozumiem, że musi się pan teraz zastanowić, co z tym wszystkim, co ze mną zrobić. Coś przecież zrobić trzeba. Nie można tego tak zostawić. Musi mnie pan ratować, panie doktorze, przecież nie da się żyć w takim rozmigotanym, mieniającym się świecie... Wyjdę i poczekam trochę, a pan pozbiera myśli. Nie będę panu przeszkadzał, bo pan nie będzie się mógł należycie skupić...

Drzwi się zamknęły. W gabinecie zapadła cisza. Pan doktor ogłuszony chrapliwym jazgotem zapadł się w fotel. Właściwie to rozlał się w nim – był tęgi, zdecydowanie za gruby, za miękkki, za pulchny. Pocił się okrutnie, roztapiał, rozpuszczał. Bez wątpienia potrzebował chwili spokoju, by zebrać myśli. Musiał zastanowić się, gdyż sytuacja była zastanawiająca, jak również zatrważająca . . . . Chwila minęła. Pulchną, miękką dłońią podniósł telefon i połączył się ze Stosownymi Służbami Sanitarnymi.

– Chciałem zawiadomić, że z mojego gabinetu właśnie wyszedł pacjent zero – głos lekko mu drżał, a nie powinien.

– A kto mówi? – zapytały Stosowne Służby Sanitarne. – No kto mówi? – ponowiły pytanie, gdyż w słuchawce dało się wyczuć pewne wahanie. „Jak to, nie wiedzą kto mówi? Znowu nie zadziałał system automatycznej identyfikacji. Wirus jakiś czy co?” – pomyślał pan doktor. Westchnął i tym razem już stanowczo i bez cienia niepokoju oznajmił:

– Mówi pacjent numer jeden.



LIBERATORIUM.COM

wymyślił napisał przygotował  
Radosław Nowakowski

© *Radosław Nowakowski* 2020